



POLSKA W WRODZINACH



79. rocznica agresji
sowieckiej na Polskę



ONI NIE ZAWIEDLI

Kiedy polscy i angielscy dyplomaci uściskali sobie ręce po złożeniu podpisów pod traktatem zawartym 25 sierpnia 1939 roku (dwa dni po pakcie Ribbentrop-Mołotow), dla wielu stało się jasne, że właśnie został nakreślony obszar przyszłego teatru działań wojennych. Polacy zyskali nadzieję, że widmo wojny zostało odsunięte, a w razie konfliktu z Niemcami będą mieć potężnych sojuszników. Anglicy zaś odeszli od stołu z przekonaniem, że w nadchodzącej wojnie zdobyli coś, na czym zależało im najbardziej – czas. I że to właśnie wojsko Rzeczypospolitej przyjmie na siebie pierwszą falę uderzenia. Oskrzydlona atakiem od zachodu i południa Polska musiała się bronić już w drugim dniu mobilizacji. Gdy Niemcy parli naprzód, wielu naszych dowódców wciąż było bez przydziału, a siły zbrojne pozostawały w fazie formowania.

Cios ze wschodu 17 września 1939 roku zaskoczył Polskę, która nagle stanęła w obliczu wojny totalnej na dwa fronty. Pozbawione łączności, niedozbrojone polskie jednostki stawiały opór do ostatniego naboju, do ostatniego żołnierza. Rozbite oddziały, bezskutecznie oczekujące na rozkazy Naczelnego Wodza, przedzierały się, by zasilić tych, co jeszcze walczyli. Ich determinacja i prawdziwe męstwo zaskoczyły przeciwników, budząc ich wściekłość i podziw. Walczyli osamotnieni, wypatrując na niebie sojusznicznych samolotów, nieświadomi, że w tym czasie ołówki Stalina i Hitlera wyznaczyły już granice nowej Europy, bez Polski. Zagłady Kresów Rzeczypospolitej nie było widać zza dymu cygar w gabinetach potężnych „sojuszników”. O Polskę walczyli wtedy już tylko Polacy. Realna polityka światowa miała zawsze po-

jemne sumienie, pełne płomiennych przemówień i tajnych umów, z których skuteczne były tylko te zawierane przeciwko naszym interesom. Polskie wojsko konało, ale nie pozwoliło się dobić. Ci, których nie zdołano wymordować, zgładzić w łagrach i zniewolić w oflagach, zbudowali armię podziemną i odtworzyli nasze wojsko we Francji.

Kiedy Polskę zawiedli wszyscy, nie zawiedli tylko oni. Piszę to z przekonaniem o żołnierzach rozbitej, pokonanej polskiej armii. O niezłomnych żołnierzach Września. Żyjemy na ziemi nasyczonej ich krwią. Jesteśmy odpowiedzialni za to, by nigdy nie zostali zapomniani.

Anna Putkiewicz
redaktor naczelna kwartalnika
„Polska Zbrojna. Historia”

Pochylmy głowy przed żołnierzami Września

Szanowni Państwo,

17 września 1939 roku to dla Polski bolesna data. Tego dnia Sowieci zdradziecko napadli na naszą Ojczyznę i w haniebnej zмовie z Niemcami zagarnęli ponad połowę II Rzeczypospolitej.

Dla milionów Polaków nastał czas eksterminacji i represji. Egzekucji i deportacji. Łagrow i niewolniczej pracy. Na polskich oficerach, chronionych przez prawo międzynarodowe, Sowieci dokonali niebywałej zbrodni, której symbolem jest Katyń. Karta losów Polaków na wschodzie wciąż zawiera wiele białych plam...

17 września to dzień pamięci o męczeństwie Polaków pod sowiecką okupacją. Dzień pochylania głów przed żołnierzami, którzy z honorem wypełnili swój obowiązek wobec Ojczyzny. Pamięci o polskich rodzinach, które doświadczyły niewyobrażalnych dramatów.

Ten dzień uświadamia nam, jak wielką wartością jest niepodległość, której 100-lecie odzyskania obchodzimy w 2018 roku. Zobowiązujemy nas do wzmacniania polskiej suwerenności i bezpieczeństwa. To najlepszy hołd, jaki możemy i chcemy złożyć tym, których cierpienie rozpoczęło się tragicznego września 1939 roku.

Mariusz
Błaszczak
minister
obrony
narodowej



PIERWSZA KREW

Kiedy nad ranem na Westerplatte panowała jeszcze cisza przed burzą, do której rozpętania gotował się pancernik „Schleswig-Holstein”, w Wielkopolsce trwała już regularna walka między niemiecką grupą dywersyjną a... jednym samotnym żołnierzem polskim.

Noc z 31 sierpnia na 1 września 1939 roku w placówce granicznej Jeziorki koło Piły była gorąca. Powietrze gęste było też od dymu z papierosów, które żołnierze palili jeden za drugim, uspokajając nerwy i łagodząc strach. Nikt nie miał już wątpliwości, że od wojny dzielą ich godziny. Zapalił również kpr. Piotr Konieczka, choć ze względu na rozedmnę płuc lekarz zdecydowanie mu to odradzał. Ten trzydziestoosmioletni Kaszub kilka lat wcześniej sprowadził się z rodziną do Wielkopolski i gospodarzył na 3 ha w Brodnej. Żeby utrzymać żonę Helenę i dwóch synów – Zygryda



kpr.
Piotr Konieczka

i Romana, zwłaszcza że młodszy z nich ciągle chorował, Konieczka dorabiał jako mleczarz i furman. Sąsiedzi szybko polubili tę kaszubską rodzinę za to, co w Wielkopolsce zawsze ceniło się wysoko – pracowitość. Wiosną 1939 roku Konieczka został w stopniu kaprała zmobilizowany

do plutonu granicznego. Nikt wtedy nie przypuszczał, jaki los czekał tego skromnego człowieka.

Nagle około godziny 1.20 żołnierze w Jeziorkach usłyszeli głuchy wybuch pocisku artyleryjskiego. Jak się miało za moment okazać, był to sygnał do ataku dla niemieckiej grupy dywersyjnej. Polska placówka znajdowała się w lesistej dolinie, po prawej stronie szosy prowadzącej do niemieckiej wtedy Piły. Mimo że Polacy cały czas obserwowali pas ziemi niczyjej, niemiecki atak zaskoczył ich swą gwałtownością. Gęsty ogień karabinów maszynowych natychmiast przygwoździł ludzi do ziemi. Po pierwszym szoku Polacy odpowiedzieli tym samym. Po około 15 minutach zaciętej walki obrońcy postanowili się wycofać i ewakuować Urząd Celny w Jeziorkach. Zadania krycia ich ogniem podjął się kpr. Konieczka. Przez

WIELKIE SZARŻE PO

JAK WYKONAĆ NIEWYKONALNE ZADANIA

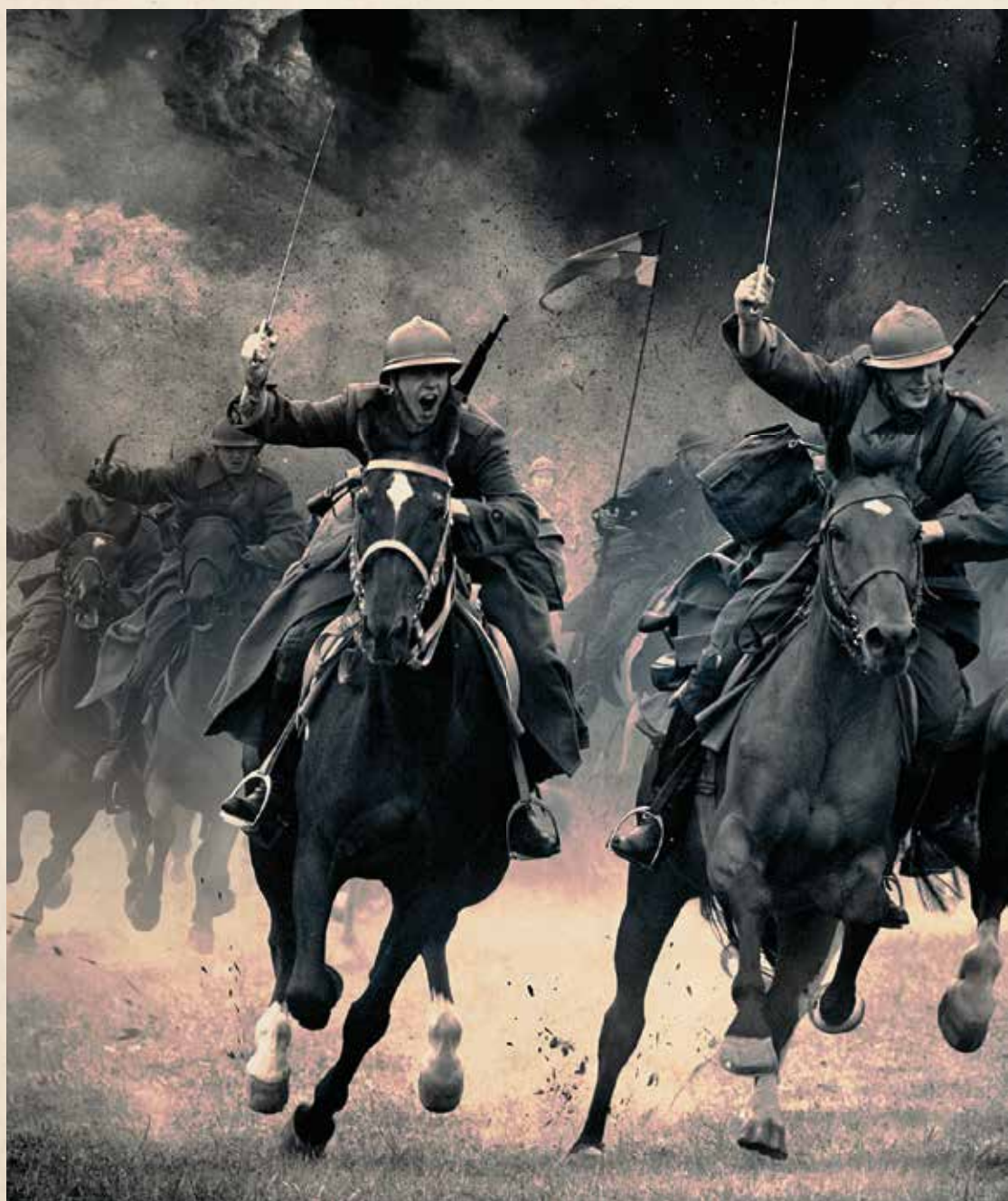
O polskiej kawalerii zwykło się mówić, że we wrześniu 1939 roku była już anachronizmem, a jej szarże na oddziały niemieckie – szaleństwem, wykorzystywanym później przez goebbelsowską propagandę. Nic bardziej mylnego.

W rzeczywistości kawaleria polska we wrześniu 1939 roku miała działać według zasad ówczesnego pola walki: poruszać się szybko, uzbrojona – oprócz broni białej – w karabinki, erkaemy i cekaemy oraz karabiny i działka przeciwpancerne. Do walki powinna włączyć się spieszona i nacierać jak piechota, ale znacznie lepiej od niej uzbrojona. W większości wypadków tak właśnie wyglądała walka polskich ułanów w czasie kampanii 1939 roku. Co więcej, okazała się bardzo skuteczna w starciach z niemieckimi wojskami, nawet pancernymi, czego dowodem była chociażby bitwa pod Moką Wolińską Brygady Kawalerii. O szarży często decydowały przypadek, inicjatywa własna dowódców, a nawet niezrozumienie rozkazu.

Niewykonalne zadanie

Jedną z najgłośniejszych szarż polskiej kawalerii w II wojnie światowej miała miejsce już 1 września. Wykonał ją pod Krojantami dywizjon 18 Pułku Ułanów Pomorskich pod dowództwem płk. Kazimierza Mastalerza. Wobec silnego nacisku Niemców gen. Stanisław

Grzmot-Skotnicki, dowódca Grupy Operacyjnej „Czersk”, dał rozkaz przeciwuderzenia, by ułatwić swej piechocie odwrót. Rozkaz ten miał przekazać dowódcy 18 Pułku ppor. Grzegorz Cydzik z 13 Pułku Ułanów Wileńskich. Podobno po wykonaniu zadania, młody podporucznik niezbyt taktownie upewniał się, czy Mastalerz będzie nacierał w szyku pieszym, za co został przez pułkownika ofuknięty: „Nie będzie mnie pan poruczniku uczył, jak się wykonuje niewykonalne rozkazy”. I dał rozkaz ubezpieczonego marszu w kierunku Krojant. W pewnej chwili dywizjon znalazł się w polu niemieckiego ostrzału. Wtedy płk Mastalerz wy dobył swoją szablę i wskazał nią kierunek. Dowódcy szwadronów – rtm. Eugeniusz Świeściak i rtm. Jan Ładoś, dowódcy plutonów i ułani zrozumieli ten gest jako rozkaz do szarży i ruszyli na nieprzyjaciela. W ogniu niemieckich karabinów maszynowych padł rtm. Świeściak, zaraz po nim kule śmiertelnie ugodziły płk. Mastalerza, który zwał się na ziemię wraz z koniem. Straty wśród ułanów powiększyła jeszcze nie-



następne pięć minut nie pozwalał dywersantom nawet na drobny ruch, posyłając ze swego kaemu serię za serią. Dopiero kiedy jedna z zabłąkanych kul zraniła dzielnego kaprała w szyję, Niemcy mogli zająć placówkę. I wtedy pokazali pierwszy raz, jaki charakter będzie mieć ta wojna – bez pardonu dobili rannego polskiego żołnierza kolbami i bagnetami. Byli wściekli, że nie udało im się wykonać zadania, czyli wybić całej obsady placówki. Ich zegarki wskazywały godzinę 1.40.

Nazajutrz jeden z gospodarzy z Jeziorek, o nazwisku Giersz, zajeżdżał furmanką pod kościół parafialny i cmentarz w Śmiłowie. Na polecenie Niemców przywiózł dwa ciała przykryte wojskowymi płaszczami. Do zwłok kpr. Konieczki dołączono bestialsko zamordowanego siekierami przez miejscowych Niemców strażnika granicznego Szczepana Ławniczaka. Przed kościołem szybko zebrał się tłumek miejscowych, przezornie stojący w oddaleniu od grupy niemieckich żołnierzy, którzy otoczyli furmankę Giersza. Jak wspominają świadkowie, w pewnej chwili do wozu podszedł niemiecki major i zażądał odkrycia zwłok. Kiedy z kpr. Konieczki ściągnięto płaszcz, zapytał: „Kto to był?”. Jeden



Propagandowy plakat mobilizacyjny z 1939 roku.
Ze zbiorów Centralnej Biblioteki Wojskowej

z żołnierzy odpowiedział: „Panie majorze, to jest ten, który sam bronił posterunku w Jeziorkach”. Oficer znieruchomiał i po-

wiedział: „To jest bohater. Jako żołnierz nie złamał przysięgi”, następnie zaszalutował. Scena ta przywodzi na myśl podobny

gest, który rok później miał wykonać niemiecki generał nad ciałem mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala”. Rycerskie gesty po bestialsko prowadzonych działaniach... Na początku wojny niektórzy dowódcy Wehrmachtu sami przed sobą nie potrafili przyznać, że rozpętali wojnę, w której pojęcie rycerskości zostało raz na zawsze pogrzebane...

Pochówek Konieczki i Ławniczaka był pośpieszny i bez udziału księdza, który ewakuował się wraz z polskimi żołnierzami. Oba wojskowych zakopano we wspólnej mogile na cmentarzu parafialnym w Śmiłowie. W 2009 roku w Jeziorkach odsłonięto obelisk upamiętniający bohaterską śmierć kpr. Piotra Konieczki. Napis na obelisku głosi, że „broniąc polskiego urzędu celnego w Jeziorkach i ojczystego progu, jako pierwszy w Wielkopolsce poległ śmiercią bohatera”. Piotr Konieczka zgodnie jest uważany przez historyków za pierwszego żołnierza polskiego, który zginął w II wojnie światowej. 14 września 2010 roku Piotr Konieczka został odznaczony pośmiertnie Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Piotr Korczyński

LSKIEJ KAWALERII

Szarża 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich (rekonstrukcja). Fot. Cezary Pomykało



miecka kolumna zmotoryzowana, która ukazała się na szosie od strony Chojnic. Pozostali przy życiu ułani przeszli jednak przez ogień zaporowy i szablami zatrzymali niemiecką linię, umożliwiając polskiej piechocie wycofanie się.

Kałużyn i Wólka Węglowa

Kolejną szarżę wykonał 11 Pułk Ułanów Legionowych w walce o Kałużyn. W nocy z 11 na 12 września 1 Dywizja Legionów została otoczona przez Niemców. Ta elitarna jednostka Wojska Polskiego z miejsca zdecydowała się przebić. Ruszyła do walki dwiema kolumnami. W jednej z nich szedł 4 szwadron 11 Pułku dowodzony przez rtm. Franciszka Wrzoska. Kiedy kolumna zbliżyła się do Kałużyna, jej dowódca płk Stanisław Engel zawołał w ciemnościach: „Kawaleria naprzód!”. Rtm. Wrzosek zrozumiał rozkaz jednoznacznie. Dał rozkaz natarcia w szyku konnym i ruszył szwadronem na Zawadę – przedmieście Kałużyna. Przebił się przez nie i dotarł do samego miasta. Za kawalerią poszła piechota, o świcie wsparła ją artyleria i pod osłoną ognia Polacy odbili Kałużyn. To zwycięskie natarcie okupiono jednak wielkimi stratami zarówno wśród piechoty, jak i kawalerii. Z 85 koni 4 szwadronu udało się zebrać jedynie 33.

Kolejną udaną szarżę zapisał na swe konto 14 Pułk Ułanów Jazłowieckich. Około 19 września liczne oddziały polskie starały się przebić w kierunku Warszawy. Niemcy zdawali sobie z tego sprawę i znacznymi siłami przeciwdziałali tym próbom. Po trzech dniach krwawych walk 14 Pułk dotarł do lizjery lasu w rejonie Wólki Węglowej. Dowódca pułku, płk Edward Godlewski, zdecydował się na natarcie w szyku konnym na las pomiędzy Burakowem a Młocinami. Szar-

żę rozpoczął trzeci szwadron z poczem sztandarowym. Na jego czele pogalopował płk Godlewski i dowódca szwadronu por. Marian Walicki. Niemcy otworzyli gęsty ogień z broni maszynowej, ale ułani dopadli ich linii i zaczęli ciąć szablami po głowach przerażonych piechurów niemieckich. W czasie walki został ranny w rękę sztandarowy, kpr. Feliks Maziarski, a jego koń padł ugodzony śmiertelnie odłamkiem granatu. Kiedy sztandar zaczął się chylić ku ziemi, rzucili się w jego stronę Niemcy. Wtedy inny



Defilada 7 Pułku Ułanów. Na przodzie poczet sztandarowy. 15 sierpnia 1933 roku.
Fot. Narcyz Witczak-Witaczyński
Narodowe Archiwum Cyfrowe

kapral, znany w całej Polsce narciarz i olimpijczyk Bronisław Czech, zawrócił z garstką ułanów i wyrwał sztandar z rąk wroga. Tę szarżę również trzeba było okupić wielkimi stratami, ale droga do Warszawy została otwarta. Gen. Roman Abraham, dowódca dwóch brygad kawalerii: Wielkopolskiej i Podońskiej, w których składzie walczył 14 Pułk Ułanów Jazłowieckich, tak wspominał szar-

żę swoich żołnierzy: „Deszcz pocisków rwie w strzępy ludzi i konie, nie zdołał jednak zatrzymać ułanów, którzy wraz z symbolem swej chwały i ofiary – sztandarem pułku – przebijają się przez rygle [niemieckich – PK] stanowisk. Szarża trwała 18 minut”.

Mały Grunwald

Przebieg szarży pod Wólką Węglową, a zwłaszcza walka o sztandar, jak żywo przypominał epizod bitwy pod Grunwaldem, kiedy rycerze polscy odbili wielką chorągiew z rąk Krzyżaków. Jeszcze wyraźniejsze analogie do grunwaldzkiego zwycięstwa miało starcie pod Krasnobrodem. 23 września dowodzony przez płk. Bogdana Stachlewskiego 25 Pułk Ułanów Wielkopolskich otrzymał rozkaz pójścia w straż przednią 7 Nowogródzkiej Brygady Kawalerii w kierunku na Krasnobród. Spieszony 2 szwadron zaatakował Niemców strzegących miasta i zmusił ich do ucieczki. Widząc to, dowódca 1 szwadronu por. Tadeusz Gerlecki rozwinął szwadron i zaatakował uciekającego nieprzyjaciela. I w tym momencie nieoczekiwanie na linii ułańskiego natarcia pojawiła się kawaleria niemiecka. Dwa oddziały konne zwały się w walce, jak hufce rycerskie pod Grunwaldem. I podobnie jak w tamtej bitwie, szeregi niemieckie zaczęły się łamać – szybko okazało się, która kawaleria jest lepiej wyszkolona do walki. Niemcy zawrócili w kierunku pobliskiego klasztoru. Polscy ułani w pogoni za nimi odbili klasztor, ale por. Gerlecki nadal kontynuował pościg. I wtedy jego szwadron dostał się pod skrzydłowy ogień nieprzyjacielski. Por. Gerlecki zginął trafiony kulą, ale zwycięstwo pozostało przy jego ludziach.

P.K.

Tędy przeszła z



Ziemie zachodniej Polski stały się dla Niemców poligonem doświadczalnym. Uczyli się tutaj, jak najefektywniej przeprowadzić deportacje, czystki etniczne, wymianę ludności na niemiecką. Testowali też techniki masowej zagłady – tłumaczy prof. Waldemar Handke, historyk z Politechniki Koszalińskiej.

Wrzesień 1939 roku. Przegrywamy wojnę obronną. Na wschodzie Polski rozpoczyna się okupacja sowiecka, na zachodzie i w centralnej części kraju trwa już niemiecka. A właściwie dwie różne okupacje...

Zgadza się. Sytuacja w Generalnym Gubernatorstwie była diametralnie różna od tej, która zaistniała na zachodnich ziemiach Polski.

Z czego to wynikało?

Zasadnicza różnica polegała na tym, że Generalne Gubernatorstwo w zamyśle Niemców miało stać się quasi-państwem. Natomiast Wielkopolska, Śląsk i Pomorze Gdańskie, uzupełnione o fragment województwa łódzkiego oraz północnego Mazowsza, zostały włączone do Rzeszy. W Generalnym Gubernatorstwie funkcjonowały polskie instytucje, na przykład PCK czy Rada Główna Opiekuńcza. Polacy służyli w kontrolowanej przez okupantów granatowej policji, chodzili do wybranych teatrów oraz kin, ukazywała się też polskojęzyczna gadzinowa prasa. Oczywiście gazety prześiakięte były nazistowską propagandą, a instytucje kultury prezentowały żenująco niski poziom. Ale jednak istniały. Tymczasem na terenach wcielonych do Rzeszy nie było nawet o tym mowy. Polacy pod groźbą surowej kary nie mogli używać publicznie swojego języka, nie mieli swoich szkół, do kina zostali zagnani wyjątkowo – kiedy na jaw wyszedł mord katyński, a Niemcy chcieli go wykorzystać propagandowo. Do tego niemal od ręki pozmieniane zostały wszystkie nazwy geograficzne. Język polski po prostu zniknął z przestrzeni publicznej. W Wielkopolsce czy na Pomorzu zaczęło obowiązywać prawo III Rzeszy. Nie poprzez dekrety Hansa Franka, jak miało to miejsce w Generalnym Gubernatorstwie, lecz bezpośrednio. Polacy



Pierwsza fala zbrodni. Aresztowani Polacy tuż przed rozstrzelaniem na Starym Rynku w Bydgoszczy, wrzesień 1939 roku.

automatycznie stali się obywatelami drugiej kategorii. Symbolem tego może być choćby fotografia przedstawiająca ławkę w leszczyńskim parku, który dziś nosi imię Kościuszki. Widnieje na niej tabliczka „Nur für Deutsche”. Na bramach parków zaczęły pojawiać się ostrzeżenia: „Polakom i psom wstęp

wzbroniony”. Choć podobne obostrzenia zostały wprowadzone w Generalnym Gubernatorstwie, to jednak nie na taką skalę. Ale i na ziemiach wcielonych sytuacja nie wszędzie była jednakowa. Wystarczy spojrzeć na podejście okupanta do kwestii germanizacji. Na Pomorzu nowe władze uznały, że Kaszubi to faktycznie Niemcy i tak właśnie mają być traktowani. III i IV kategoria z Volkslisty, oznaczająca warunkowe obywatelstwo, narzucana była też Ślązakom. Niemcy po prostu chcieli mieć nowych żołnierzy, których mogliby traktować jak mięso armatnie. Tymczasem w Wielkopolsce, przemianowanej na Kraj Warty, namiestnik Arthur Greiser uznał, że nie będzie germanizował ludzi, lecz ziemię. I założył, że cały proces przeprowadzi w ciągu dziesięciu lat.

Różnice nie zmieniają jednak zasadniczego faktu: Polacy na ziemiach wcielonych poddawani byli wyjątkowo brutalnym represjom. Docelowo mieli z tych ziem zniknąć.

Hitler liczył na pomoc mniejszości niemieckiej i się nie przeliczył...

Niestety nie. To właśnie m.in. dzięki mieszkającym po drugiej stronie granicy rodakom Niemcy zgromadzili rozległe informacje na temat polskich samorządowców, nauczycieli, lekarzy, adwokatów, działaczy politycznych,

także weteranów powstania wielkopolskiego. Słowem: elity. Dane te pomogły w sprawnym przeprowadzeniu akcji pacyfikacyjnych. Był to ważny element precyzyjnie skonstruowanego, zakrojonego na szeroką skalę planu, którego celem było oczyszczenie tych ziem z Polaków.

Od czego zatem zaczęli?

Pierwszy był Wehrmacht. Niemiecka armia nie ograniczała się do walki z oddziałami Wojska Polskiego. Zbombardowany w pierwszych godzinach wojny Wieluń wcale nie był wyjątkiem. W Wielkopolsce, na Śląsku czy Pomorzu z dymem poszło wiele wsi. Niemieccy dowódcy tłumaczyli, że ukrywali się w nich żołnierze nieprzyjaciela. Faktycznie jednak realizowali oni wytyczne Hitlera, który podkreślał, że Polakom nie należy okazywać żadnej litości. Potem do akcji wkroczyły Einsatzgruppen, specjalnie przeszkolone grupy operacyjne SD oraz policji bezpieczeństwa, które przeprowadzały publiczne egzekucje. Ich ofiarą padali wspomniani wcześniej przedstawiciele polskiej elity. Aby nadać tym działaniom pozory praworządności, wcześniej stawiali oni przed marionetkowymi sądami. Egzekucje trwały do wiosny 1940 roku. W Wielkopolsce, od września do grudnia 1939 roku, w 300 miej-



Publiczna egzekucja polskich zakładników w Bydgoszczy, wrzesień 1939 roku. Zdjęcie ze zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej w Bydgoszczy

agłada

sach egzekucji zamordowanych zostało ponad 12 tys. Polaków. Dziś trudno w niej znaleźć miejscowość, w której nie byłoby tablicy upamiętniającej pomordowanych. Takie miejsca są też w Lesznie, Kościanie, Gostyniu, Włoszakowicach, Rydzynie. Tak samo działo się na pozostałych ziemiach wcielonych do Rzeszy – na Pomorzu czy Śląsku. Niemcom chodziło o to, by wytrzebić polską warstwę kierowniczą. Wyeliminować ludzi, którzy w przyszłości mogliby stanąć na czele ruchu oporu. Egzekucje obliczone zostały również na efekt psychologiczny. Miały zastraszyć polską ludność.

Kogo Niemcy wysiedlali?

W pierwszej kolejności przedstawiciele elit, których nie postawili wcześniej przed plutonami egzekucyjnymi: nauczycieli, lekarzy, prawników, przedsiębiorców, rzemieślników. Najpierw pozbawiano ich majątku. Potem musieli zgłosić się do punktów zbiorczych, skąd pociągami odsyłani byli do Generalnego Gubernatorstwa. Czasem mieli chwilę na przygotowanie się do drogi, mogli zabrać ze sobą podręczny bagaż z artykułami pierwszej potrzeby. Bywało jednak i tak, że musieli się wynieść w ciągu dziesięciu minut. Kolejna grupa Polaków z ziem wcielonych trafiła też na przymusowe roboty do Niemiec. Szczególnie dramatyczny okazał się los 200 tys. polskich dzieci, które zostały odebrane rodzicom i wysłane do ośrodków germanizacyjnych. Po wojnie do domów wróciło zaledwie 15% z nich. W poddanym brutalnym represjom społeczeństwie gwałtownie spadał wskaźnik przyrostu naturalnego. Polacy na ziemiach zachodnich dosłownie stanęli na krawędzi biologicznej zagłady. Niemcy z rozmysłem przeprowadzali rozłóżoną na lata czystkę etniczną. A jednocześnie do opustoszałych domów i gospodarstw sprowadzali swoich rodaków – z Bałkanów, Łotwy, Estonii. Wymiana ludności przebiegała akurat w takim tempie, by utrzymać zdolności produkcyjne gospodarstw rolnych oraz fabryk.

Ziemie zachodniej Polski stały się dla Niemców swego rodzaju poligonem doświadczalnym. Uczyli się tutaj, w jaki sposób najefektywniej przeprowadzić czystki, deportacje, testowali też techniki masowej zagłady. W pierwszym okresie wojny 550 pensjonariuszy zakładu psychiatrycznego w Kościanie trafiło do zamkniętych ciężarówek. Zginęli od tłoczonych do wnętrza bud spaliny. Podobny los spotkał ponad 1200 pacjentów zakładu na Dziekanówce w Gnieźnie. Tylko w Kraju Warty Niemcy, w ramach Akcji T4, wymordowali ponad 6 tys. chorych psychicznie. Później masowo mordowali w ten sposób Żydów.

Jaki był ostateczny bilans mordów, wywózek i represji na ziemiach zachodnich?

Niemiecki plan dotyczący tych ziem bez większych zakłóceń był realizowany do przełomu 1942 i 1943 roku, kiedy to Wehrmacht zaczął mieć poważne problemy na froncie wschodnim. By odsunąć od Rzeszy klęskę, machina państwowa musiała zostać przestawiona na inne tory. Jednak straty, jakie przez kilka lat spowodowali Niemcy w tej części Polski, trudno dziś policzyć. W pierwszych miesiącach tylko w Wielkopolsce życie

straciło 20 tys. ludzi. To efekt działalności Wehrmachtu, rajdów Einsatzgruppen, codziennych represji. Na Pomorzu tę liczbę należałoby zapewne pomnożyć przez dwa może trzy. Z samego Kraju Warty do Generalnego Gubernatorstwa deportowanych zostało ponad 200 tys. osób. Blisko pół miliona trafiło na roboty do Niemiec. Część z nich nigdy w rodzinne strony nie wróciła. A przecież mówimy tylko o Polakach. Nie należy zapominać, że w tym samym czasie Niemcy, tak jak w innych częściach podbitej Europy, dokonywali masowej eksterminacji Żydów.

Tymczasem nadal chyba niewielu z nas zdaje sobie sprawę z różnic pomiędzy niemieckimi rządami w Wielkopolsce i Generalnym Gubernatorstwie. Kiedy mówimy „okupacja”, w głowach mamy najczęściej obrazy z Warszawy czy Krakowa. Dlaczego?

Po pierwsze za sprawą kultury, zarówno tej wysokiej, jak i masowej. Akcja filmów i książek o czasach okupacji osadzona była przede wszystkim w Generalnym Gubernatorstwie. Akcja pod Arsenałem, Parasol, Zośka bądź powstanie warszawskie przemawiają do wyobraźni bardziej niż widok ludzi wypędzanych z domów czy stawianych przed plutonem egzekucyjnym. A jednak także ziemie zachodnie mają historie, które potrafią zadziwić. Choćby dzieje wspomnianej już grupy dr. Witaszka i truczni służących do eliminacji niemieckich zbrodniarzy. Albo organizacji „Ojczyzna”, której członkowie, wywodzący się głównie ze środowisk narodowych, założyli na przykład tajny Uniwersytet Ziemi Zachodnich w Generalnym Gubernatorstwie. Podczas wojny przewinęło się przez niego 2 tys. studentów! To właśnie działacze „Ojczyzny” stworzyli podwaliny pod przejęcie i zagospodarowanie tzw. ziem postulowanych, czyli terenów po Odrę i Nysę – Dolnego Śląska i Pomorza Zachodniego. Pomóc w tym miał m.in. założony przez nich konspiracyjny Instytut Morski. Dodajmy jeszcze do tego, że z 200 tys. wysiedlonych Wielkopolan co piąty zaangażował się potem w konspirację w Generalnym Gubernatorstwie czy na Kresach Wschodnich. To dzięki nim w Armii Krajowej powstał Korpus Zachodni. Jego celem było szkolenie oficerów i podoficerów, którzy później mieli zostać przerzuceni na polskie tereny wcielone do Rzeszy i tam kontynuować walkę. Były prezydent Poznania Cyryl Ratajski został przecież Delegatem Rządu na Kraj. Z Wielkopolski wywodził się wreszcie pochodzący z niewielkiej wioski pod Czempiem Florian Marciniak, twórca i pierwszy komendant Szarych Szeregów. Z kolei w Poznaniu narodził się ten magiczny dla młodych konspiratorów kryptonim Związku Harcerstwa Polskiego.

Wielu z nich nadal czeka, by w podręcznikach historii zająć należne im miejsce.

*Rozmawiał
Łukasz Zalesiński*

(Pełna wersja wywiadu ukaże się w najbliższym wydaniu kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia”)



*Wrogowie władzy ludowej – deportowane dzieci, Kontoszyn, Barnaulski Rejon, 1940 rok.
Zdjęcie ze zbiorów Związku Sybiraków w Krakowie*

WYRWANI Z OJCZYZNY

Po agresji sowieckiej 17 września 1939 roku na Kresy Wschodnie II Rzeczypospolitej polskie elity zostały poddane planowej eksterminacji. Aresztowań i zesłań do łagrów dokonywano na masową skalę. Objęły swym zasięgiem wszystkie warstwy społeczne i narodowościowe II Rzeczypospolitej.

Na listę proskrypcyjną mógł trafić każdy, kto został uznany przez nową władzę za „wroga władzy ludowej”. 5 grudnia 1939 roku Rada Komisarzy Ludowych podjęła ściśle tajną uchwałę o wysiedleniu wszystkich osadników wojskowych i cywilnych oraz służbę leśną zatrudnioną w lasach państwowych i prywatnych. Deportacji podlegały całe rodziny.

Po kilkutygodniowych szczegółowych przygotowaniach, obejmujących zarówno tereny wysiedlenia, jak i osiedlenia, 10 lutego 1940 roku o świcie rozpoczęła się operacja wywózki. Do jej przeprowadzenia zaangażowano jednocześnie prawie 52 tys. funkcjonariuszy NKWD, milicji, wojska oraz aktyw partyjny i administracyjny. Trwający do czterech tygodni transport odbywał się w strasznych warunkach, przy temperaturze sięgającej minus 40 stopni, toteż kilka tysięcy osób zmarło, zwłaszcza dzieci i starcy. Deportowanych rozmieszczono w 115 osiedlach specjalnych, administrowanych przez miejscowe komendatury NKWD, rozrzuconych w republikach rosyjskiej i kazachskiej. Były to najgorsze tereny pod względem klimatycznym, a pra-

cowano ciężko przy wyrębie lasu. Wywózka przeprowadzona 10 lutego 1940 roku objęła około 140 tys. niewinnej ludności (rodziny osadników wojskowych, kolonistów cywilnych, pracowników służby leśnej). Wśród nich największą grupę stanowili Polacy (prawie 82%), Ukraińców było 8,8%, a Białorusinów 8,1%.

Kiedy w lutym 1940 roku jeszcze nie wszyscy zesłańcy dotarli do miejsc ostatecznego przeznaczenia, już 2 marca 1940 roku władze sowieckie wskazały kolejne grupy do wysiedlenia na dziesięć lat do Kazachstanu. Chodziło o wszystkie rodziny represjonowanych (uwięzionych) i przebywających w obozach jenieckich, czyli oficerów Wojska Polskiego, policjantów, funkcjonariuszy służb publicznych, agentów wywiadu, ziemian, fabrykantów, wysokich urzędników państwowych. „Technika” wywiezienia 13 kwietnia 1940 roku wyglądała podobnie jak poprzednio. Deportowano 61 tys. osób do Kazachstanu. Były to głównie kobiety z dziećmi oraz osoby starsze, dotychczas zamieszkujące w miastach i nieprzystosowane do pracy w rolnictwie czy w przemyśle. Oprócz

dokończenie ze str. 5

Polaków, stanowiących zdecydowaną większość (68%), wywieziono także Białorusinów (13,4%), Ukraińców (12,3%) i Żydów (4,3%). Ludzie ci zostali osiedleni w prymitywnych warunkach bytowych i w uciążliwym klimacie. Większość rozmieszczono w kolchozach, sporo w sowchozach i robotniczych osiedlach przemysłowych. Część nie otrzymała dachu nad głową i tułała się po stepie, innych kwaterowano w skrajnie prymitywnych warunkach.

Przeprowadzona między 20 a 30 czerwca 1940 roku trzecia deportacja objęła głównie uciekinierów z okupowanej przez Niemcy Polski, którzy wyrazili chęć powrotu do domu i odmówili przyjęcia obywatelstwa sowieckiego. W przeważającej części byli to Żydzi (ponad 84%), Polaków było nieco ponad 11%. Zesłańców rozmieszczono na terytorium Syberii. Tam musieli podjąć pracę przy wyrębie lasów i obróbce drewna oraz w kopalniach. Trzymano ich w warunkach obozowych, w barakach nadzorowanych przez placówki NKWD, bez prawa przemieszczania się.

Wiosną 1941 roku przygotowano jeszcze jedną masową wywózkę. Przebiegała ona w kilku etapach i nie została dokończona ze względu na wybuch wojny niemiecko-sowieckiej. Obszar, z którego dokonywano wysiedleń, obejmował nie tylko ziemie zajęte we wrześniu 1939 roku, lecz także zagar-



Za drutami łagru w Norylsku.

Zdjęcie ze zbiorów Związku Sybiraków w Krakowie

nięte w 1940 roku Litwę, Łotwę, Estonię i Mołdawię. Wywózcę podlegały rodziny uczestników „kontrewolucyjnych organiza-

cji”, byłych funkcjonariuszy służb mundurowych. W północne regiony sowieckiej Rosji oraz do Kazachstanu wywieziono wówczas

około 90 tys. osób. Oblicza się, że było wśród nich od 34 do 44 tys. obywateli polskich, w większości Ukraińców i Białorusinów.

TAJEMNICE WESTERPLATTE



Wojskowa Składnica Tranzytowa na Westerplatte była przygotowana, by bronić się przynajmniej cztery tygodnie – mówi Mariusz Wójtowicz-Podhorski, kierownik Muzeum Westerplatte i Wojny 1939.

Jaki jest największy mit dotyczący Wojskowej Składnicy Tranzytowej?

Z pewnością ten o rzekomym rozkazie obrony placówki na Westerplatte przez maksymalnie 12 godzin. Takiego rozkazu nigdy nie było. Na terenie tak ufortyfikowanym i przygotowanym do obrony okrzętej, jakim była polska Składnica, nie mogło istnieć pojęcie obrony tylko do określonej godziny.

Skąd więc wzięła się informacja o takim rozkazie?

Mjr Stefan Fabiszewski, komendant Składnicy w latach 1934–1938, prowadził po wojnie prywatne śledztwo na temat kapitulacji Westerplatte. Odkrył, że to kpt. Franciszek Dąbrowski, dowódca oddziału wartowniczego, chciał w ten sposób usprawiedliwić po wojnie dążenie mjr. Henryka Sucharskiego, komendanta Składnicy, do szybkiego poddania się po nalocie bombowym 2 września.

Jednak informacja o dwunastogodzinnej obronie nawiązuje też do zadań wyznaczonych załodze Westerplatte w przypadku niemieckiego puczu w Gdańsku. Gdyby Niemcy opanowali miasto i uderzyli na Składnicę, placówka miała wytrzymać co najmniej 12 godzin, czekając na wsparcie



Żałoga Westerplatte nad kanałem portowym eskortowana przez Niemców.

Pierwszy z prawej: dowódca Wartowni Nr 3 plut. Jan Naskręt (zastąpiony w trakcie obrony przez plut. Władysława Barana), 7 września 1939 roku.

Zdjęcie ze zbiorów Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznej WST na Westerplatte

ze strony 1 Morskiego Pułku Strzelców z Wejherowa i jednocześnie prowadząc działania ofensywne w porcie gdańskim. Jednak w razie wojny żołnierze mieli walczyć do ostatniego naboju i ostatniego żołnierza. Według mjr. Fabiszewskiego załoga była przygotowana na obronę przynajmniej czterotygodniową. Mieli zapasy żywności, własne ujęcia wody. Byli uzbrojeni w dużą ilość broni maszynowej i m.in. w dwie armaty przeciwpancerne wz. 1936, armatę polową wz. 1902 oraz cztery moździerze wz. 1936, mieli także bardzo duże zapasy amunicji do armat, moździerzy i broni maszynowej. Dodatkowo, jak na ograniczenia, jakie obowiązywały Polskę, teren Składnicy był świetnie przygotowany do obrony.

W wielu opracowaniach można przeczytać, że Polacy poddali się, bo nie byli w stanie obronić placówki przed silnym natarciem niemieckim...

Tak naprawdę po siedmiu dniach walki straty załogi nie były duże. Zginęło około 20–30 osób z liczącej 230 żołnierzy załogi Składnicy. Ponadto ani ostrzał z okrętu szkolnego „Schleswig-Holstein”, ani bombardowanie lotnicze 2 września nie wyrządziły szkód, które uniemożliwiłyby dalszą obronę. Morale żołnierzy również było wysokie. Z relacji obrońców wynika, że walki na Westerplatte już po 2 września przybrały formę wojny pozycyjnej. Wiele wskazywało więc na to, że Niemcy 7 września, po rozpoznaniu walką terenu Westerplatte, nie przeprowadzą kolejnych szturmów, lecz będą blokować Składnicę do czasu rozstrzygnięcia walk o Gdynię i Oksywie. Dlatego kapitulacja Westerplatte była dla nich całkowitym zaskoczeniem.

Dlaczego więc 7 września o 10.15 żołnierze się poddali?

Mjr Fabiszewski nie znalazł na to odpowiedzi. Pytałem też o to kilka lat temu

Rozmieszczano ich w większości po wsiach, wśród miejscowej ludności. Część z nich trafiła do obozów i pracowała przy wyrębie lasu.

Liczba deportowanych z ziem wschodnich II Rzeczypospolitej jest przedmiotem kontrowersji. Do końca lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku szacowano, że wywieziono od miliona do 1,2 miliona ludzi. Około 30% zmarło w czasie transportów lub na zesłaniu. Z ujawnionej po upadku ZSRR dokumentacji NKWD wynika, że wysiedlono około 320 tys. obywateli polskich, a 15–20 tys. zmarło w wyniku tej operacji. Tę liczbę ofiar trzeba uzupełnić o kilkanaście tysięcy zmarłych z wycieńczenia i chorób już po uwolnieniu na mocy amnestii z sierpnia 1941 roku.

Celem sowieckich deportacji była eksterminacja elit oraz ogółu świadomej narodo-wo polskiej ludności. Miały one rozbić społeczną strukturę, dostarczając jednocześnie totalitarnemu sowieckiemu imperium siły roboczej. W akcji masowych wywózek stopiły się w całość elementy czystki etnicznej i klasowej. Celem było pozbycie się ewentualnych przywódców opozycji i ruchu oporu, ale chodziło też o ich potencjalną bazę społeczną.

prof. zw. dr hab. Stanisław Jacyński

Autor jest profesorem nauk humanistycznych, historykiem i politologiem, wykłada na Uniwersytecie Przyrodniczo-Humanistycznym w Siedlcach.

mjr. Ignacego Skowrona, żyjącego wówczas ostatniego obrońcę Składnicy. Jednak odpowiedział, że złożył wojskową przysięgę i nigdy nie ujawni, co wydarzyło się tego dnia pod koszarami na Westerplatte. Możliwe więc, że nigdy się tego nie dowiemy.

Czy jakieś tajemnice półwyspu udało się odkryć dzięki badaniom archeologicznym, które od trzech lat są prowadzone na tym terenie?

Tak, na skraju cmentarza obrońców Westerplatte odkryliśmy pozostałości Wartowni nr 5 zniszczonej podczas bombardowania 2 września. Wiemy też, z dużym prawdopodobieństwem, jakie bomby wokół niej upadły: dwie o wagomiarze 50 kg i jedna ćwierćtonowa. Nie uderzyły bezpośrednio w wartownię, lecz ich wybuch spowodował, że zawaliła się jak domek z kart. Ponadto koło starych koszar i budynku administracyjnego odkryliśmy dwa świetnie przygotowane stanowiska strzeleckie, z których prowadzono ogień z ręcznego karabinu maszynowego wz. 1928 w kierunku Nowego Portu. O tych miejscach obrony nie wspominają żadne dokumenty. Badania będziemy kontynuować. Chcemy sprawdzić cały teren półwyspu, odnaleźć oraz udokumentować wszystkie znajdujące się w ziemi artefakty i relikty budynków.

*Rozmawiała
Anna Dąbrowska*

*Mariusz Wójtowicz-Podhorski
jest kierownikiem Muzeum
Westerplatte i Wojny 1939,
Oddziału Muzeum
II Wojny Światowej w Gdańsku,
a także badaczem dziejów
obrony półwyspu w 1939 roku.*

Polska noc SS „GERMANIA”

Nie jest prawdą, że po kampanii 1939 roku Adolf Hitler wymazał z niemieckiego Ordre de Bataille rozbitą przez Polaków Pułk Zmotoryzowany SS „Germania”. Ale i tak dla elity kanclerza III Rzeszy był to ogromny cios. Upojeni dotychczasowymi łatwymi zwycięstwami esesmani pękli w półgodzinnym ataku polskich żołnierzy na bagnety.

Niemcy pewni swej przewagi technicznej, która potwierdziła się już w pierwszych dniach wojny, bali się jednak ataków polskich żołnierzy na bagnety. Jeśli Polacy zdołali przedrzeć się przez zaporę ogniową broni maszynowej i artylerii, nic już nie mogło ich powstrzymać. Jeszcze groźniejsze były takie ataki z zaskoczenia, czego właśnie doświadczyli esesmani z SS-Standarte „Germania” przydzieleni do jednostek Wehrmachtu blokujących dywizjom Armii „Małopolska” gen. Kazimierza Sosnkowskiego drogę do Lwowa.

W dotychczasowych działaniach elitarnego, zmechanizowanego pułku gwardii Hitlera żołnierze SS „Germania” mieli na koncie więcej egzekucji niż dokonanych bojowych. Przez pierwsze trzy dni wojny pułk stacjonował w Gliwicach, 4 września przeszedł do opuszczonego przez polskie wojsko Sosnowca, tam natychmiast włączył się w aresztowania i egzekucje dokonywane przez Einsatzgruppe I, którymi dowodził Bruno Streckenbach. Esesmani z SS „Germania” uczestniczyli m.in. w masowych egzekucjach w Lasach Panewickich k. Katowic, gdzie wymordowano ponad 150 ludzi. Za te i podobne „czyny bojowe” część pułku zapłaciła bardzo szybko, bo już nocą 15 września 1939 roku. Stało się to za sprawą oddziałów wspierających 1 Dywizję Górską, które zajmowały pozycje we wsiach Przyłbice, Mużyłowice, Mogiła i Czarnokońce. W Mużyłowicach kwatrowało dowództwo pułku wraz z 3 Batalionem i pododdziałami wsparcia. To właśnie miejscowość stała się główną areną dla nemezis, która nastąpiła tej feralnej dla Niemców nocy.

Bagnet na broń!

Gen. Kazimierz Sosnkowski na odprawie w Sądowej Wiszni 15 września zdecydował, że wraz ze swą armią będzie przebiegał się przez Lasy Janowskie do Lwowa. Dla dowódców podległych mu dywizji oznaczało to wydanie rozkazów do natarcia na blokujące im drogę niemieckie jednostki. Wieczorem tego dnia do boju ruszyły pułki 11 Karpackiej Dywizji Piechoty płk. dypl. Bronisława Prugara-Ketlinga i 38 Dywizji Piechoty Rezerwowej płk. Alojzego Wira-Konasa. W niemieckich strzelców górskich i zmotoryzowanych esesmanów z impetem uderzyła polska piechota. Największe laury bitewne przypadły w tym starciu 49 Huculskiemu Pułkowi Strzelców z 11 KDP ppłk. dypl. Karola Hodały. Kiedy gen. Prugar-Ketling dowiedział się od jednego z okolicznych mieszkańców, że w Mużyłowicach znajduje się sztab esesmańskiej jednostki, rozkazał ppłk. Hodałę w nocnym ata-

ku zdobyć tę wieś. Równocześnie polecił, by wyznaczeni do ataku żołnierze rozładowali broń. To miało zapewnić atakowi moment zaskoczenia, który mógł być stracony przez przypadkowy lub przedwczesny wystrzał.

Huculi ppłk. Hodały spadli na Niemców po północy 16 września jak duchy. Kluli esesmanów bagnetami w całkowitej ciemności i ciszy, którą od czasu do czasu próbował przerwać niemiecki karabin maszynowy, eliminowany zaraz przez opatrzonych bojowym szaleem Polaków. A był on tak straszny, że Niemcy nie próbowali prosić nawet o pardon. Ginęli w ataku, którego się nie spodziewali, z którym spotkali się po raz pierwszy i ostatni w życiu. Trupy esesmanów, które oglądali po bitwie polscy oficerowie, były przerażające. „Trwoga, wśród której ginęli, nie znikła z ich twarzy” – zapisał w relacji po bitwie przyszły generał Prugar-Ketling.

Płk Prugar-Ketling dotarł na pobojuwisko w Mużyłowicach, kiedy już świtało. „W coraz mocniej jaśniejących płamach brzasku porannego odróżnialiśmy domy, drzewa, opłotki, a później... działa, jaszczke, ciągniki, samochody – najpierw pojedyncze – potem grupy, całe parki. Przecieraliśmy oczy, by się upewnić, czy to nie złudzenie, tak nieprawdopodobnie zdobył ta wyglądała. Wieś duża, bogata, o szerokich podwórzach i ogrodach, zawalona była sprzętem i materiałem wojennym po brzegi”. W Mużyłowicach SS „Germania” utraciła prawie cały ciężki sprzęt, w tym osiem haubic 105 mm, baterię dział przeciwlotniczych, większość moździerzy i broni maszynowej oraz wszystkie samochody. Niestety ze zdobycznego ciężkiego sprzętu nie można było skorzystać ze względu na brak odpowiednio wyszkolonych żołnierzy. Zniszczyli go na miejscu saperzy. Znacznie bolesniejsze dla esesmanów były jednak straty w ludziach. Od uderzeń polskich bagnatów zginęli m.in.: dowódca 3 Batalionu, SS-Obersturmbannführer Willy Köppen i adiutant pułku, SS-Obersturmführer Rudolf Schomburg, a adiutant 3 Batalionu, SS-Untersturmführer Herbert Menzel został

ciężko ranny. Sztab pułku, który w panice uciekł z Mużyłowic, zatrzymał się za Jaworowem. Rozproszeni po całej okolicy żołnierze 3 Batalionu zbierali się przez kilka dni w rejonie miejscowości Mogiła – Tuczapy.

Gen. Prugar-Ketling we wspomnieniach pisanych w czasie internowania w Szwajcarii zanotował, że na wieść o pogromie swego pułku Hitler wpadł we wściekłość i kazał go skreślić ze stanu armii. W rzeczywistości jednak większość sił pułku skoncentrowano już 17 września i następnie użyto do osłony skrzydeł XVII Korpusu Armijnego i w tej roli pozostawiono aż do zakończenia kampanii w Polsce. Po zakończeniu walk w 1939 r. wszystkie oddziały „Germanii” ponownie połączyły się i pułk przerzucono do Czech. W dalszych latach wojny SS „Germania” wchodziła w skład 5 Dywizji Pancernej SS „Wiking”.

Pokłosie

Zwycięstwo nad pułkiem SS „Germania” i innymi oddziałami z 1 Dywizji Górskiej w Lasach Janowskich w dniach 15–16 września 1939 roku. bardzo podniosło morale żołnierzy gen. Sosnkowskiego. Nie mieli oni jednak zbyt wiele czasu na radość ze zwycięstwa. Czekali ich kolejne ciężkie boje na drodze do „najwierniejszego miasta” – jak nazwał Lwów gen. Sosnkowski w czasie odprawy w Sądowej Wiszni. W nocy z 20 na 21 września 1939 płk dypl. Bronisław Prugar-Ketling rozwiązał swą 11 Karpacką Dywizję Piechoty, nakazując żołnierzom rozproszyć się i małymi grupkami przedzierać ku południowej granicy. Części żołnierzy, w tym pułkownikowi, udało się przedostać do Francji, większość trafiła jednak do sowieckiej i niemieckiej niewoli. Wśród zamordowanych przez NKWD w 1940 roku.

oficerów tej dywizji był odznaczony przez gen. Władysława Sikorskiego za bój pod Mużyłowicami Orderem Virtuti Militari IV kl. ppłk dypl. Karol Hodała. Ci żołnierze, którym było dane dożyć układu Sikorski-Majski, znaleźli się w Armii gen. Władysława Andersa.

Paradoksalnie klęskę pupilów Hitlera wykorzystwała konkurencja z Wehrmachtu. Jego wyżsi dowódcy, niechętni SS, podkreślali w raportach niedostateczne wyszkolenie i brak doświadczenia esesmanów.

Klęska „Germanii” była mocnym atutem w psuciu krwi Heinrichowi Himmlerowi, który musiał przyznać, że jego podwładnym jeszcze dużo brakuje do elity, a fanatyzm i doświadczenie w eksterminacji ludności cywilnej nie wystarczą w walce z doborowymi i zdeterminowanymi żołnierzami, jakimi byli podwładni gen. Sosnkowskiego.

P.K.



plk dypl.
Bronisław Prugar-Ketling



BĘDĘ WALCZYŁ Z CZERWONYMI AŻ DO OSTATNIEGO TCHNIENIA

Rankiem 17 września 1939 roku, przed planowanym uderzeniem na Polskę Armii Czerwonej, strażnice KOP-u zostały zajęte przez specjalne oddziały, wzmocnione pododdziałami pogranicznych wojsk NKWD. Polacy podjęli z nimi nierówną walkę.

W sierpniu 1939 część zawodowej kadry oficerskiej i podoficerskiej, a także szeregowych przesunięto w ramach mobilizacji z oddziałów KOP-u na kresach do jednostek, które dyslokowano na zagrożone odcinki na granicy z Niemcami (m.in. Węgierska Góra, Wizna, Żywiec, Hel). W ich miejsce przydzielono rezerwistów, którzy pod okiem żołnierzy z ostatnich poborów przejęli ochronę wschodniego pogranicza. W strażnicach KOP-u pozostawiono po jednym podoficerze zawodowym oraz po pięciu żołnierzach służby czynnej z doświadczeniem granicznym. Podobnie w kompaniach odwodowych i kompaniach ckm. Pozostawiono w nich tylko po kilkunastu szeregowych służby czynnej. Stan ten uzupełniano rezerwistami i junakami przysposobienia wojskowego. Większa część wyposażenia i uzbrojenia (m.in. broń maszynowa) została przydzielona do zmobilizowanych oddziałów, dlatego odtworzone jednostki graniczne miały mniejsze możliwości bojowe. Strażnice mające jedenastoosobową obsadę etatową zazwyczaj chroniły 8–10 km granicy, co pozwalało jedynie na prowadzenie wzmoczonej obserwacji przedpoja podczas patrolowania w dzień i w nocy. W niewralicznych miejscach na granicy wystawiano także posterunki alarmowe na wieżach obserwacyjnych oraz warty przy strażnicach.

Na granicy względny spokój

Batalion KOP „Budslaw” mjr. Mieczysława Baczkowskiego miał do ochrony ponad 112-kilometrowy odcinek granicy polsko-sowieckiej (między słupami nr 291 i nr 477). Czterem kompaniom granicznym („Olkowice”, „Hnieździłów”, „Dołhinów” i „Doksyce”) podlegało 13 strażnic. Podobnie jak na innych odcinkach, trwała w nich normalna służba, odbywająca się według pokojowego rytmu. Początkowo na pograniczu był względny spokój, w drugiej dekadzie września zaczęto jednak zauważać ruchy oddziałów wojsk sowieckich. 13 września stwierdzono m.in., że Sowieci skrycie przecięli odrutowanie granicy od swojej strony. Według zachowanych przekazów rodzinnych, podoficerowie spodziewali się wkroczenia sowieckich oddziałów i zdawali sobie sprawę z możliwości obronnych strażnic KOP-u. Pomimo to na jednej z odpraw sierż. Bronisław Mnich zapowie-

dział, że dowodzona przez niego strażnica KOP „Pasieki” będzie walczyć. On sam miał powiedzieć: „nie poddam się, będę walczył z czerwonymi do mojego ostatniego tchnienia”. Dla wzmocnienia obrony potajemnie dostarczono do strażnicy ciężkie karabiny maszynowe i dodatkowe uzbrojenie. Na pozycjach rozkazano pozostać ochotnikom, którzy po stawieniu oporu i odstąpieniu pozostałych żołnierzy mieli bezpiecznie wycofać się i wysadzić budynek, gdyby



*Strażnica KOP-u, wschodnie rubieże Rzeczypospolitej.
Zdjęcie ze zbiorów autora*

Sowieci dostali się do środka. Z kolei załogi strażnic w Soczewkach i Zaciemieniu miały w miarę możliwości wycofać się.

Tak wkraczają „sojuszniczy”

W tym czasie w celu dezinformacji przed atakiem Sowieci podjęli akcję propagandową, rozsiewając pogłoski, że wkroczą do Polski jako sojusznicy w walce z Niemcami.

Strażnice Batalionu KOP „Budslaw” atakowały pododdziały wydzielone z 2 Dywizji Strzeleckiej i z 14 PO w Pleszenicach, wspomagane częściowo przez 13 PO z Połocka i 15 PO z Zasławia. Wszystkie wchodziły w skład Frontu Białoruskiego. Jedną z pierwszych zaatakowanych była strażnica KOP „Pasieki” (odcinek 1 kompanii granicznej „Olkowice”). Według rodzinnych przekazów, przed świtem pod strażnicę podjechała ciężarówka z czerwonoarmistami. Sowieci zażądali, aby dowódca otworzył drzwi i poddał się. Ku ich zaskoczeniu żoł-

nierze KOP-u odpowiedzieli ogniem z broni maszynowej, zadając duże straty atakującym. Pomimo bohaterskiej obrony, Rosjanie, dzięki znacznej przewadze ogniowej, granatami przełamali opór obrońców i wdarli się do strażnicy. W walce poległ sierż. Mnich oraz 12 jego żołnierzy, a kolejnych sześciu dostało się do niewoli. Według sowieckich meldunków, w walce miało zostać rannych tylko pięciu czerwonoarmistów, ale wydane się, iż poniesione straty zaniżono. Ciało

też dowódca sowieckiego oddziału lejtnant Pietrow, a jego zastępca politruk Końkow został ranny. Napastnicy przypuszczalnie szybko się wycofali, gdyż ciała obrońców nie zostały ograbione, a ukryta w szafie żona plut. Komara ocalała. Polegli żołnierze zostali pochowani przez mieszkańców Pohostu w bratniej mogile nieopodal budynku strażnicy. Również strażnica KOP „Milcza” dowodzona przez st. sierż. Antoniego Baćmagę broniła się około godziny. Część załogi (w tym ranni) wraz z dowódcą dostała się do niewoli, ale kilku żołnierzom udało się wycofać do Dołhinowa. Natomiast na odcinku 4 kompanii granicznej KOP „Doksyce”, atakowanej przez znaczne siły, tylko załoga położonej nad rzeką Berezyną strażnicy KOP „Porzece” podjęła walkę. Z meldunków sowieckich wynika, że podczas ataku zginęło dwóch żołnierzy z 13 PO, a jeden czerwonoarmista został ranny. Ostatecznie strażnica padła, ale jej załoga zdołała się wycofać. Ocaleni żołnierze przedostali się do Budslawia i przez kilka kolejnych dni kontynuowali walkę.

Nie mieli szans

Mocno uszczuplony Batalion KOP „Budslaw” prowadził walki odwrotowe w kierunku na Wilejkę i Wilno. Po zajęciu tego ostatniego wyruszył w kierunku Litwy. 20 września w rejonie miejscowości Karawele został zaatakowany i rozbity przez sowieckie czołgi. Tylko nielicznym żołnierzom udało się przedostać na Litwę. Do niewoli dostał się m.in. st. sierż. Stanisław

Chmielewski (lat 39), dowódca strażnicy KOP „Soczewki”, były żołnierz POW-u – uczestnik powstania sejneńskiego i wojny polsko-bolszewickiej. Wprawdzie udało mu się uciec i powrócić do rodziny, ale po aresztowaniu w grudniu 1939 roku trafił do więzienia w Mińsku, gdzie został zamordowany w 1940 roku (jest na białoruskiej liście katyńskiej). Również dowódca strażnicy KOP „Zaciemień” plut. Tadeusz Kasprówicz znalazł się w więzieniu w Mińsku i został skazany na karę łagru. Zaginął w tundrze, gdzieś w dorzeczu Peczory.

mjr. SG dr Artur Ochół

Autor jest historykiem polskich formacji granicznych, pracuje w Archiwum Straży Granicznej w Szczecinie.



st. sierż.
Stanisław Chmielewski

bohaterskiego dowódcy przewieziono do Olkowicz, gdzie Sowieci przerzucili je przez płot i przez kilka dni nie pozwalali na jego pochowanie. Prawdopodobnie dzięki poświęceniu obrońców strażnicy w Pasiekach załogi sąsiednich strażnic („Soczewki” i „Zaciemień”) mogły bezpiecznie wycofać się do Olkowicz. Również na odcinku 3 kompanii „Dołhinów” nie udało się zaskoczyć polskich obrońców. Walkę z agresorem podjęła strażnica KOP „Karolin” plut. Eugeniusza Gibały. W trakcie obrony poległo trzech żołnierzy, a pięciu dostało się do niewoli. Pomimo początkowego zaskoczenia walkę podjęła także strażnica KOP „Pohost”. Dowodził nią 35-letni plut. Stefan Komar, zdeterminowany obecnością w placówce swojej ciężarnej żony Stanisławy. Poległ wraz z czwórką swoich żołnierzy. Pozostali najprawdopodobniej dostali się do niewoli, ale w walce zginął



polskaZbrojna

Projekt z jubileuszowej serii edukacyjnej „Drogi do niepodległości” został przygotowany przez zespół WTW pod redakcją Anny Putkiewicz. Niektóre teksty umieszczone w numerze były publikowane w wydawnictwach WIW. Opracowanie graficzne: Wydział Składu Komputerowego i Grafiki WIW, Marcin Dmowski (kierownik), Małgorzata Mielcarz (opracowanie graficzne); strona tytułowa: fot. Artur Orzechowski, grafika: Paweł Kepka. Koloryzacja zdjęć archiwalnych: Mirosław Szponar.

Redakcja i korekta: Wydział Opracowania Stylistycznego WIW, Marta Sachajko (kierownik). Druk: Wojskowe Zakłady Kartograficzne Sp. z o.o., ul. Fort Wola 22, 01-258 Warszawa. Dziękujemy Centralnej Bibliotece Wojskowej, Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie Adamowi Urbańskiemu ze Stowarzyszenia Historycznego Pionierzy 40 Pułku Piechoty „Dzieci Lwowskich” za pomoc w realizacji projektu.

wiw

Wojskowy Instytut Wydawniczy

Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

Dyrektor: Maciej Podczaski

Miesięcznik „Polska Zbrojna”

Redaktor naczelny: Izabela Borańska-Chmielewska

Portal www.polska-zbrojna.pl

Kwartalnik „Polska Zbrojna. Historia”

Redaktor naczelny: Anna Putkiewicz

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

Mecenasi wydania specjalnego
„Polski Zbrojnej”

PGZ
POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA

ORLEN

POLSKA
SPÓŁKA GAZOWNICTWA

ROZGRZEWAMY
POLSKIE SERCA
Fundacja PGNiG